

EWELINA GIERASIMIUK-MERTA



AGRAFKA
WYDAWNICTWO

Ewelina Gierasimiuk-Merta

@krajobrazy_myśli

Wydawnictwo Agrafka 2024



ISBN 978-83-67981-09-5



Spis treści

CZĘŚĆ I	4
CZĘŚĆ II	26
CZĘŚĆ III.....	105
CZĘŚĆ IV.....	174

CZEŚĆ I

16 października 2017

Próbuję myśleć o sobie dobrze, bo podobno tak trzeba. Nie mówić sobie przykrych słów, nie krytykować na każdym kroku, nie podcinać sobie skrzydeł. Próbuję. Czasem udaje mi się przez pół dnia, czasem tylko pół godziny. Staram się myśleć o sobie ciepło i rozgrzewam się dobrą nowiną. Potem przychodzi z pracy matka, mrozi mnie spojrzeniem albo wylewa mi kubek zimnej wody na głowę jednym ostrym komentarzem. Czasem naprawdę bardzo się staram nie atakować siebie, nie szukać dziury w całym. Pompuję ten balonik samozadowolenia, a potem ona wbija w niego szpilę i znów robię się płaska, bez wymiaru. Czasem wkładam wiele wysiłku w to, żeby się nie zadrećcać, nie osłabiać, nie stawiać pod prężeniem. Próbuję robić rzeczy ponad moje siły i możliwości. Próbuję być z siebie dumna... A potem świat, ten malutki, ten w zasięgu moich dłoni, szydzi ze mnie lub mnie ignoruje. Nie wyrosły mi skrzydła. Nie mam też korony. Znaczą mniej niż wczoraj, lecz tyle samo, co jutro.

Bywały chwile, kiedy Marta wątpiła w miłość matki, mimo że była jej jedynym dzieckiem i, poza babcią Krystyną, jedyną bliską jej osobą. Zamiast ciepłych słów i czułych uścisków Marta nagminnie słyszała pytania o szkołę. O zadane lekcje, o odrobione lekcje, o oceny z lekcji, o sprawdziany, konkursy, o reakcje nauczycieli na wypracowanie lub odpowiedź, o koleżanki i kolegów z klasy. Dziesiątki pytań tygodniowo, setki pytań miesięcznie, tysiące pytań rocznie. Nim Marta skończy studia, na które musi pójść, bo tylko to zapewni jej porządne życie, jak powtarzała mama, pytań uzbierają się miliony. Miliony pytań, na które trzeba grzecznie i cierpliwie odpowiadać, bo w innym wypadku, w wypadku prychnięcia czy – jeszcze gorzej – pyskowania, dojdzie do awantury z podniesionym głosem, a może nawet do szarpnięcia za ramiona lub popchnięcia niewdzięcznego dziewczuszyska, dla którego matka sobie żyły wypruwała i po co? Po co?! Po co to wszystko?

Żeby usłyszeć z ust własnej córki, że to nie matki sprawa? A czyja, jeśli nie matki?

„Jesteś moim dzieckiem! Twoje życie jest moim życiem! Ma mnie nie obchodzić, jak sobie radzisz w szkole? Mam się nie interesować, co się z tobą dzieje, z kim się zadajesz? Mam cię nie namawiać na studia? Przecież chodzi o to, żeby ci było w życiu dobrze – tobie, nie mnie!”

Marta przekonywała więc siebie, że jest dla mamy ważna. Może nawet bardzo. Dlatego mama tak się przejmowała każdą oceną gorszą od czwórki i kazała mieć świadectwa z czerwonym paskiem. Dlatego notorycznie przetrzepywała Marcie plecak, sprawdzała komórkę i czasem poświęcała kilkadziesiąt minut, żeby znaleźć ukryty gdzieś przez córkę pamiętnik, z którego mogłaby wyczytać, czy jej jedyne dziecko nie wdało się w złe towarzystwo albo nie ma jakichś strasznych tajemnic, o których jako matka powinna wiedzieć, bo jak inaczej ma w porę zadziałać czy pomóc. Marta wiedziała o tych poszukiwaniach jej dziennika, bo łatwo zauważyć przesunięte na półkach przedmioty, inaczej ułożoną pościel czy niedosunięte szuflady biurka. Nie miała pretensji. A pamiętnik i tak zawsze zabierała ze sobą, kiedy wychodziła z domu. Nawet wtedy, gdy szła po zakupy do osiedlowego sklepu. Wsuwała swój gruby notes do przewieszanej przez ramię niewielkiej, czarnej torby, a w nocy wkładała go pod poduszkę. Nie chciała, żeby mama przeczytała jej zapiski. Wcale nie z powodu strasznych tajemnic, lecz po to, by mieć coś tylko dla siebie: swoje prywatne, intymne zapiski.

Zapiski...

Każdy z pamiętników Marty, a zdążyła zapisać ich już prawie pięć przez ostatnie cztery lata, zaczynał się od tych samych słów:

Mam na imię Marta, a ty jesteś moim jedynym, prawdziwym przyjacielem. Tylko tobie mogę powierzyć swoje tajemnice i najskrytsze myśli.

Nad każdym wpisem data, a pod datą drobno zapisane dwie, trzy, a czasem cztery strony dziennie. Niektóre zapiski urozmaicone małymi rysunkami. Zdarzały się też przyklejone przezroczystą taśmą zasuszone listki lub kwiatki, rzadziej – wykorzystany bilet do kina. Jednak najczęściej były to po prostu ciągi liter ułożonych w słowa, ciągi słów ułożonych w zdania i ciągi zdań ułożonych w codzienny zapis myśli i uczuć.

Pomysł na prowadzenie pamiętnika podsunęła Marcie wychowawczyni z podstawówki – pani Edyta, która była znakomitą polonistką, uwielbianą chyba przez wszystkich uczniów. Pod koniec szóstej klasy pani Edyta poprosiła Martę o chwilę rozmowy po lekcjach. Zostały same w wielkiej, jasnej sali. Nauczycielka wyszła zza swojego biurka i, chcąc skrócić dystans, przysiadła się do przedostatniej ławki, wyglądając dziwnie na miejscu ucznia, jakby samo zajęcie małego krzesła sprawiało, że ubyło jej powagi i lat, choć z tak niewielkiej odległości Marta wyraźnie widziała pajęczyny drobnych zmarszczek wokół niebieskich oczu kobiety. Musiała mieć koło czterdziestki, nieco więcej niż matka Marty, zdradzała to trochę już zwiotczała skóra na szyi. Uczennica przyglądała się z bliska pani Edycie, analizując zbierane wzrokowo informacje, nad którymi do tej pory nigdy się nie zastanawiała, ale jednocześnie uważnie słuchała, co nauczycielka miała jej do powiedzenia.

Kobieta zaczęła od wrażliwości Marty. Stwierdziła, że ta szczególna cecha to piękno ukryte głęboko, ale dostrzegalne przez osoby empatyczne, o podobnej wrażliwości. Podkreśliła niezwykłą umiejętność Marty do posługiwania się słowem. Wspomniała o dojrzałych wypowiedziach dziewczyny, ale też o smutku w jej oczach i izolowaniu się od grupy. Pytała, czy Marta ma jakieś problemy, o których chciałaby z nią pomówić, czy nie potrzebuje jakiejś porady, a może pomocy. Jej głos brzmiał łagodnie i przyjaźnie – Marta nieomal się na to nabrała... Już chciała wyrzucić z siebie jednym tchem wszystkie żale, pozbyć się dręczących ją myśli, poskarżyć się na matkę, ale... milczała. Przejornie i pokornie trzymała język za zębami. Tak jak została nauczona.

– Jeśli nie jesteś gotowa na rozmowę, to nie szkodzi. – Pani Edyta próbowała złapać uciekający wzrok Marty. – Gdybyś nabrała odwagi, to wiesz, gdzie mnie znaleźć. A tymczasem chciałabym ci coś doradzić.

Doradziła, aby pisać. Pisać o swoich emocjach, marzeniach, o tym, co na dnie duszy.

– Możesz spróbować pisać wiersze albo po prostu dziennik. Będziesz szlifować swój styl, a w przyszłości, być może, przeczytasz to swoim wnukom. Będąc w twoim wieku też prowadziłam dziennik, który był raczej powiernikiem moich tajemnic. – Wychowawczynie się uśmiechnęła. – I w wielu momentach życia takie zapisywanie myśli pomagało mi rozprawić się ze złością albo z przykrościami. Przelewałam po prostu wszystko na papier.

Już kilka dni później Marta poprosiła mamę o zakup grubego brulionu, kłamiąc, że potrzebuje do szkoły na dodatkowe zajęcia z polskiego. Matka dała jej dwadzieścia złotych z niezmiennym przypomnieniem, że reszta ma do niej wrócić, bo pieniądze nie rosną na drzewach, a alimenty od ojca to, pozał się Boże, jakaś kropla w morzu potrzeb.

Marta wybrała dwustukartkowy zeszyt w twardej, zielonej oprawie z motywem drzewa w prawym, dolnym rogu okładki. Zapłaciła za niego trzynaście złotych. Kiedy zwracała mamie pozostałe siedem, musiała wysłuchać utyskiwań na drożyznę, rozbój w biały dzień i zdzierstwo na każdym kroku. Zaraz potem mogła wreszcie usiąść przy swoim biurku i zapisać pierwsze tajemnice.

Tajemnice...

Marta nie musiałaby mieć tylu tajemnic, gdyby miała komu o nich opowiadać, bo przecież sekrety wypowiedziane na głos i wysłuchane przez kogoś przestają być sekretami. Ale mimo posiadania kilku koleżanek z klasy i z osiedla, z którymi wracała ze szkoły do domu, a potem spędzała czas na podwórku, mimo wielu pogaduszek, wspólnych

zabaw, podobnych nastoletnich dylematów, nie było osoby, której Marta mogłaby powiedzieć wszystko. A zwłaszcza o tym, co boli najbardziej.

20 listopada 2017

Nie cierpię swojego imienia! Jest jak wydmuszka: puste i bez żadnej treści.

Tata zawsze mówił o mnie „Martusia”, czasem skracając te trzy sylaby do pieścizotliwego „Tusia”. Pamiętam to wyraźnie. Tak samo jak ton jego głosu, pełen entuzjazmu, kiedy wchodził do mojego małego pokoiku i proponował spacer albo wycieczkę:

„Tusia, może wybierzemy się nad staw i poszukamy śladów wiosny?”, „Tusia, chcesz pojechać do zoo?”, „Tusia, co powiesz na wesołe miasteczko?”

Tata często wymyślał weekendowe eskapady dla naszej rodziny, byleby się tylko gdzieś wyrwać, nie spędzać czasu wolnego w tym ciasnym, dusznym mieszkaniu, bezmyślnie wgapiając się w ekran telewizora zajmującego pół ściany dużego pokoju, będącego jednocześnie sypialnią, pokojem gościnnym i jadalnią. Kuchnia jest przecież tak wąska, że nie mieści się w niej stół, a co dopiero stół z krzesłami.

Tata...

Marta nosiła w sobie dwa portrety ojca. Jeden naszkicowany samodzielnie, choć niewprawnie, bo kiedy widziała go po raz ostatni miała za ledwie siedem lat, a drugi narysowany grubą kreską przez matkę, która, przynajmniej z pięć razy w tygodniu przez ostatnie kilka lat, poprawiała kontury na obrazie, żeby tylko jej córka miała świadomość, że jej tatuś to kretyn, nieodpowiedzialny gówniarz, który nie dorósł do roli męża ani tym bardziej ojca i Marta nie powinna zawracać sobie nim głowy. Szkic dziecka bardzo się różnił od wersji autorstwa matki. Ale co Marta mogła

tak naprawdę wiedzieć i pamiętać, skoro była zbyt mała, aby to rozumieć.

– Tak, tak, zabierała cię na wycieczki – potwierdziła mama zapytana o to przy okazji kolejnej rozmowy o nim, kiedy jechały swoim wysłużonym, czerwonym peugeotem w cotygodniowe odwiedziny do babci Krystyny. – Bo miał wyrzuty sumienia wobec ciebie i mnie, że w tym samym czasie żył z kochanką.

Nie było sensu ciągnąć tego tematu. Tyle razy już go wałkowały, że Marta znała każde kolejne zdanie matki. O tym, że ojciec zostawił je dla tej pustej laluni, która złapała go w końcu na dziecko. O tym, że zło wraca i, niech się Marta nie martwi, on jeszcze dostanie za swoje, jeszcze się los na nim odegra za to, co im zrobił. Że Bóg poskąpił mu rozum, ale na szczęście Marta odziedziczyła po nim tylko zielony kolor oczu, nic więcej.

Teraz, kiedy Marta miała szesnaście lat, potrafiła już precedzić słowami matki, odsiewając prawdę od gorzkiego jadu, ale przez pierwsze lata po rozwodzie rodziców, małej dziewczynce łatwo było wpoić do głowy setki kłamstw, które nie wynikały wcale ze złej woli, lecz były konsekwencją złamanego serca mamy.

14 grudnia 2017

Jest mi cholernie smutno. Dziś są moje szesnaste urodziny, a tata ani nie zadzwonił, ani nie wysłał esemesa. Pewnie zapomniał zajęty swoją nową rodziną, nowym dzieckiem. Mnie już nie potrzebuje... Mama mówi, żebym o nim w ogóle nie myślała, bo szkoda czasu i wylanych łez, ale ja nie umiem nie myśleć. Zawsze o mnie pamiętał... Nawet po rozwodzie z mamą. Tłumaczył mi, że rozstanie rodziców nie oznacza, że przestaniemy się widywać. I tak było – przez rok czy dwa, kiedy byłem w zerówce i w pierwszej klasie. Najczęściej odbierała mnie po lekcjach mama, ale kilka razy zdarzyło się, że przed szkołą czekał tata. Podskakiwałam wtedy ze szczęścia na jego widok i biegłam prosto w jego objęcia, a on przytulał mnie z całych sił i mówił, że jestem coraz większą i silniejszą Tusią. Potem jechaliśmy do jego nowego mieszkania

oddalonego od naszego o ponad godzinę drogi. Robiliśmy wspólnie obiad, wygłupiając się i śmiejąc przy tym aż do bólu brzucha albo szliśmy na pizzę, a potem na spacer z obowiązkowym przystankiem w cukierni, gdzie zawsze wybierałam dla siebie ptysia, a tata rurkę z kremem i kawę. Krem z ciastka brudził mi pół twarzy, ale tata nigdy się o to nie złościł ani nie wstydził za mnie i nie mówił, jak mama, że nie potrafię jeść po ludzku, tylko szedł ze mną do łazienki i zwilżonymi chusteczkami wycierał mi resztki słodczy z policzków i brody.

Później odwoził mnie do mamy i pod klatką naszego, wspólnego do niedawna, bloku dawał mi całusa w czubek głowy, mówiąc, że mnie kocha i zawsze będzie jęgo małą Tusią, nawet jak go już przerosnę.

Ale potem... ożenił się po raz drugi i ma drugie dziecko, które widziałam tylko raz i wcale nie było do niego podobne, nawet nie miało zielonych oczu po nim, takich jak ja mam. A nowa żona taty, ciocia Magda, nie chciała chyba, żebym do nich przyjeżdżała, bo tata to na pewno by chciał... Ale pewnie zabroniła mu spotykać się ze mną, bo nagle przestał całkownie mnie odwiedzać. Tylko dzwonił na Dzień Dziecka i w moje urodziny. Zawsze czekałam na te rozmowy telefoniczne i denerwowałam się, kiedy mama zajmowała linię gadając z babcią Krysią, a nawet podejrzewałam, że robiła to specjalnie, żeby tata się do mnie nie dodzwonił. Ale i tak w końcu mu się udawało złożyć mi uroczyste życzenia i zapytać, co u mnie nowego. Plotkałam wtedy trzy po trzy, byle jak najdłużej mieć go po drugiej stronie aparatu. Opowiadałam o szkole, wypożyczonych z biblioteki książkach, obejrzanych filmach, a on słuchał i śmiał się, dopóki mama nie kazała mi się pożegnać i odłożyć słuchawkę.

Ale w tym roku nie zadzwonił... Jakie głupie to życie!!! A od mamy dostałam smartfona. Powiedziała, że już jestem na tyle duża, że chyba go nie zgubię i nie roztrzaskam, a ona będzie mogła zawsze sprawdzić, gdzie się podziewam, bo ma specjalną aplikację „Śledź swoje dziecko». A przecież i tak zawsze wie, gdzie jestem... Cieszę się z tego

telefonu, bo w klasie byłem dotąd jedyną osobą ze starą nokią bez ekranu dotykowego. Aż wstyd było wyciągać ten szajs, kiedy mama albo babcia dzwoniły. A jednak oddałabym smartfona za rozmowę z tatą... Głupie, niesprawiedliwe życie!!!

– Jak zwykle nos spuszczonej na kwintę... – powiedziała o Marcie babcia Krysia, gdy tylko przestąpiły próg jej małego mieszkania, jeszcze ciaśniejszego niż ich własne. – Skąd ta marsowa mina, dziecko?

Babcia była bibliotekarką, ale trzy lata temu przeszła na emeryturę. Marta jako dziecko często przesiadywała z nią w pracy i spacerowała labiryntami regałów pełnych zakurzonych książek. Lubiła je czytać. Odnajdowała się w potrzebnej do czytania ciszy. Potem, kiedy zaczęła pisać, zdawało się jej, że mnoży ciszę razy dwa. W odróżnieniu od życia w świecie realnych postaci i zwyczajnych zdarzeń, pisanie dawało jej pocieszenie.

– Wiecznie jej coś nie pasuje – odpowiedziała za Martę matka. – Fochy, humory, nic więcej!

– To może placek drożdżowy z malinami coś zdziała? – Babcia objęła wnuczkę ramieniem. Były tego samego wzrostu i obie równie kościste. Marcie wydawało się nawet czasami, że obie były tak samo stare.

– A po ile kupowałaś maliny? – Natychmiast chciała wiedzieć mama. – Bo u nas latem na straganach dziesięć złotych za małe pudełeczko, a jak raz kupiłam, to oczywiście tylko na wierzchu ładne, a pod spodem zgniłe i zapleśniałe. Na każdym kroku szwindel. A teraz? W listopadzie? Pewnie dwa razy droższe.

– W dyskoncie były. Słodkie i pyszne.

– Ale z twoim wysokim cukrem ciasta chyba nie są wskazane? Bo oprócz malin pewnie dodałaś ze szklankę cukru? – drążyła temat mama.

Marta tymczasem umyła ręce w łazience, a chcąc przeczekać pytania kontrolne zadawane babci, spoglądała na swoją twarz w lustrze. „Jestem taka brzydka. Mam końską paszczę i siano zamiast włosów. Do tego głupia! Koszmar!”.

Kiedy wróciła do kuchni mama zjadała już drugi kawałek ciasta, a im szybciej pochłaniała każdy kęs, tym więcej miała zastrzeżeń do smaku.

– Coś bym tu jeszcze dodała. Czegoś brakuje... – Mlaskała, marszcząc przy tym brwi, jakby od tego, czy wymyśli ten brakujący składnik czy nie, zależało czyjeś życie.

Babci to nie złościło ani nie sprawiało przykrości. Ona przecież wiedziała, jaka była jej córka. Krytykowanie wszystkiego i wszystkich to jej znak rozpoznawczy. Po ojcu to miała. Też wiecznie wieszał psy na innych albo czynił wymówki. Co zrobić? Geny!

– Siadaj, dziecko. – Babcia postawiła przed Martą talerzyk z ciastem i poszukała w szufladzie małego widelczyka. – Jak zjesz coś słodkiego, to może się rozchmurzysz.

– Nieliczyłabym na to – prychnęła matka. – Teraz takie czasy, że młodziź z niczego się cieszyć nie potrafi. Wszystko mają pod nos podstawiane, a i tak źle. Telefony, komputery, obowiązków żadnych, same przyjemności tylko, a i tak zamknie się taka w swoim pokoju i albo beczy bez powodu, albo pisze godzinami, jakby od tego pisania miała stać się ważniejsza. To już lepiej poczytać, co mądrzejsi od niej napisali. Tołstoja jeszcze nie czytałaś, prawda? Ani Dostojewskiego! Przecież to klasyka literatury, babci zapytaj.

– Ale Marta dużo czyta, od zawsze – podjęła konwersację babcia, patrząc na wnuczkę, która pakowała sobie właśnie spory kęs ciasta do buzi, żeby mieć pretekst do nieodzywania się.

– Czyta, czyta, ale same bzdety. Kiedy ja byłam w jej wieku, to przecież sama pamiętasz, jak się zaczytywałam Żeromskim, Sienkiewiczem, Prusem.

– To nadal są lektury szkolne, więc też przeczytam – zapewniła spokojnie Marta, po czym znów skierowała całą uwagę na ciasto.

– No oczywiście, że przeczytasz, już ja tego osobiście dopilnuję. – Matka zamknęła dyskusję i wstała od stołu, żeby umyć po sobie talerzyk. – Jak zjesz, to też po sobie posprzątaj, żeby babcia nie musiała. Już

wystarczy, że się nastąpiła przy robieniu i pieczeniu. Tylko uważaj, żebyś znów czegoś nie potłukła. Nie wiem po kim ty masz obie ręce lewe.

Ręce...

Ręce Marty od zawsze były słabe. No i obie lewe, jak twierdziła mama. Takie, co to się oparzą podczas odcedzania ziemniaków czy rozgotowanego makaronu, upuszczą talerz z gorącą zupą, nie odkręcą zakrętki słoika, nie doniosą ze sklepu do domu siatki pełnej zakupów bez robienia przystanków, nie zawieszają firanek jak należy. Ręce, które nie potrafiły szyć, cerować, dziergać na drutach, tak jak umiały ręce mamy. W dodatku, te nieszczęsne ręce Marty musiały być ciągle czyste. Jeśli dotknęły brudnej poręczy na korytarzu, klamek w obcych domach, nie wspominając lady w sklepie, Marta mogła myśleć już tylko o tym, że musi je umyć, właściwie to wyszorować. Bo ręce mogła mieć słabe, lewe i do niczego, ale przynajmniej czyste. Chociaż nad tym miała kontrolę.

Kontrola...

Im bardziej matka kontrolowała Martę, tym bardziej w dziewczynce narastało przekonanie, że była jakaś nieudana. Że sama nie potrafiła dopilnować swoich szkolnych obowiązków, nie potrafiła sprzątać jak należy, nie wiedziała jak zachować się przy ludziach... Więc potem wysłuchiwała wielokrotnie powtarzanego „i co ludzie powiedzą?”. I zastanawiała się, co powiedzą, co pomyślą, co zrobią...

– Pochwal się babci coś ty wczoraj zrobiła. – Matka popatrzyła na Martę z ironicznym półuśmiechem.

– Nie ma się czym chwalić. – Prawie szeptem odpowiedziała Marta.

– No oczywiście, że nie ma! Kto to widział, żeby szesnastoletnia panna była taka naiwna i lekkomyślna!

– Nic się nie stało...

– Ale mogło się stać! Na tym właśnie polega dojrzałość, że się przewiduje konsekwencje, do których może dojść!

– A o co chodzi? – wtrąciła się babcia, siadając na wystłużonej wersalce w pokoju, który od zawsze nazywano dużym, chociaż wcale duży nie był.

– Wyobraź sobie, że wpuściła do mieszkania jakąś żebraczkę!

– Kobietę, która prosiła o jedzenie dla dzieci. Wyglądała biednie i nie była niebezpieczna. – Marta starała się wyjaśnić całe zdarzenie, ale przecież matka wiedziała lepiej, chociaż nawet tej pani nie widziała.

– Dziewczyno! Na litość boską! Przecież to mogła być złodziejka! Wpuścisz taką do mieszkania, a ona ci gazem pieprzowym po oczach, o ile nie czymś gorszym, a potem zmusza cię do oddania cennych rzeczy i pozamiatane! Telewizji nie oglądasz? Nie wiesz, jak życie wygląda?

– Rzeczywiście, Martusiu, lepiej mieć ograniczone zaufanie do obcych. Różnie mogło być. – Babcia dyplomatycznie przechodziła na stronę córki. – Czasem za taką biednie wyglądającą osobą może wejść do mieszkania kilku mężczyzn i potem się okazuje, że taka kobiecina była tylko podstawiona.

– No, otóż to! – Matka klepnęła się w uda, chyba z radości, że przyznano jej rację. – A tyś jej jeszcze całą polędwicę oddała. I cały chleb! I pewnie byś mi się do niczego nie przyznała, gdyby nie to, że nie było z czego kanapek na kolację zrobić.

Marta milczała, ale w duchu odpowiadała mamie, że istotnie, nie miała zamiaru przyznawać się do tego, że pomogła tej kobiecie ze współczucia ani do tego, że po zamknięciu drzwi za skuloną ze wstydu postacią, płakała z żalu ponad godzinę.

– Żebyś mi więcej takim ludziom nie otwierała drzwi, rozumiesz? – pouczała ją nadal mama, chociaż wczoraj przerobiły ten temat kilkakrotnie.

– Rozumiem.

Z dalszej rozmowy Marta się wyłączyła i układała w myślach nowy wiersz, który, jak wszystkie pozostałe, zapisała później w notatniku.

Wiersze...

Jeden, jedyne raz Marta pokazała wiersz swojej mamie. Pamiętała, że był wieczór. Nagle, z powodu jakiejś awarii, zabrakło prądu na całym osiedlu i mama zapaliła świecę zapachową, którą dostała od córki na Gwiazdkę w zeszłym roku. Siedzieli razem w pokoiku Marty, zrobiło się tak jakby przytulnie i rozmawiali niemal jak przyjaciółki, tym razem nie o szkole ani nie o ojcu, lecz o dojrzewaniu. Mama wspominała czasy, gdy była nastolatką, zdradziła nawet, szczegóły pierwszego pocałunku na szkolnej potańcówce w ósmej klasie.

– Romek był taki zakochany we mnie! I to od piątej klasy! I dopiero na koniec szkoły odważył się zatańczyć ze mną i skraść mi buziaka. A czerwony był przy tym jak pąsowa róża, chociaż do chłopca to określenie może nie najlepiej pasuje – opowiadała mama z nieskrywaną radością, uśmiechając się do dawnych wspomnień tak, jak na co dzień nie uśmiechała się nigdy. – A ojciec tego Romka uczył nas historii i był dyrektorem szkoły. Zawsze taki elegancki i poważny. I sprawiedliwy. Romek był taki sam. Porządnie wyprasowana koszula, czyste paznokcie, no, zadbany taki. Ech, tyle lat minęło. Można było dokonać zupełnie innych życiowych wyborów... No, ale co można wiedzieć, mając głupie piętnaście lat? Sama powiedz, czy w tym wieku da się podejmować trafne decyzje?

Marta nie wiedziała, bo żadnych jeszcze nie podejmowała. Żadnych życiowych w każdym razie.

– I wiesz co, córeczko? Ten pierwszy pocałunek to się naprawdę zapamiętuje do końca życia. Dlatego nie spiesz się. Nie z byle kim, pamiętaj. To musi być porządny chłopak, z porządnego domu, a nie jakiś obszczyrmur spod bloku. Bo będziesz go potem często wspominać, a nie chcesz mieć przecież paskudnych wspomnień, prawda?

Marta przytaknęła. Mama wydawała jej się wtedy bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. Nazwała Martę córeczką, co nie zdarzało się zbyt często. I wciąż się uśmiechała.

– Mamo... Bo ja piszę wiersze czasami i może chciałabyś przeczytać jeden albo kilka?

– To jak już prąd włączą, co? Bo jak teraz, przy takim słabym świetle? I jak na zawołanie, w tej samej chwili, rozbłysła lampa nad ich głowami.

– O! Wreszcie! No, to pokaż te swoje gryzmoły, pokaż.

Marta wyciągnęła z szuflady biurka zeszyt ze swoimi, jak je nazywała, próbami poetyckimi, i wręczyła mamie, która otworzywszy go na przypadkowej stronie, przeczytała na głos niedługi tekst:

*Za dużo mnie
nadmiernie
w nadilościach nieprzekładających się na jakość.
Już bolą mnie od siebie oczy,
a kiedy je zamykam,
śnię, że jestem w sam raz
i nawet da się mnie lubić.
Nie ma znaczenia, że jestem tylko drogą –
kamienistą i pod górę,
a nade mną burzowe chmury...*

Matka patrzyła kilka sekund na utwór, chyba czytała go po cichu raz jeszcze, a Marta wpatrywała się w jej twarz, próbując wyłapać emocje i wrażenia, jakie wiersz na niej zrobił. Przedłużająca się cisza nie zwiastowała entuzjazmu. I rzeczywiście, komentarz matki był krótki, ostry i wgryzł się w pamięć Marty jak kły rozeźlonego psa w łydkę intruza.

– Niezrozumiwały ten wiersz. Właściwie o niczym. Banalny jakiś. Jak już pisać to o czymś ważnym, a nie o sobie, jakby się było pępkiem świata. Zresztą... Wiesz, co myślę? Że ta cała poezja odciąga cię od spraw realnych. Fantazjujesz i za dużo myślisz o głupstwach. A skoro już włączyli prąd, to podkurzaj, a ja poprasuję, bo samo się nie zrobi.

Marta odebrała zeszyt i, dopiero kiedy go schowała na samo dno szuflady biurka, wsadziła pięść w usta i ugryzła się tak mocno, żeby dłoń zaboląa bardziej niż dusza. A potem odkurzała mieszkanie z przesadną dokładnością, aż matka zwróciła jej uwagę, że zużywa za dużo prądu, kiedy tak dziesięć razy jeździ odkurzaczem w tym samym miejscu.

– Martusiu! – Babcia Krysia potrząsnęła ramieniem wnuczki, jakby ta zapadła w sen, tyle że na jawie. – Milczysz jak zakłeta. Mama opowiadała właśnie jak wychwalają cię nauczyciele w liceum.

– No, niby wychwalają, zwłaszcza polonistka, mówiła coś nawet o olimpiadzie, ale to w przyszłym roku, w trzeciej klasie. Ale też mówią, że Marta żyje we własnym świecie zamiast z rówieśnikami.

– A w jakim powinnam żyć, jeśli nie własnym? – odezwała się przywołana do rozmowy Marta.

– No i zobacz, jak to to pyskuje! – denerwowała się matka.

– Nie pyskuję. Tylko pytam.

– Wewnętrzny świat to jakaś ekstrawagancja! Na to to mogą sobie pozwolić artyści, a nie ty! Ty się skup na rzeczywistości, która cię otacza. Na nauce, obowiązkach, a nie tylko ciągłe odplływanie w marzenia.

– Nie odplływam w marzenia, jestem realistką – odpowiadała Marta, kontynuując w myślach wypowiedź: „Jestem realistką, tak jak zawsze mi doradzałaś, mamó. Po co marzyć, skoro marzenia są dla naiwnych?”

– Świetnie! To w realnym świecie czas pomóc babci w sprzątanu. Bośmy się rozsiadły jak w gościach, a okna się same nie umyją.

– Ależ dajcie spokój! – oponowała babcia. – Okna nie zająć.

Ale matka już nalewała do wiadra wodę, dodając płyn uniwersalny do mycia powierzchni, zamoczyła szmatkę, a jednocześnie Marcie kazała zrobić to samo, tyle że w miednicy.

– Ja przetrę w pokoju, ty w kuchni. Najpierw ramy, potem szyby. Tylko nie byle jak. Żeby nie musiała po tobie poprawiać, bo nie mamy całego dnia.

Babcia została z córką, a Marta z ulgą udała się do kuchni. Musiała wejść na krzesło, bo nie dosięgała górnej ramy okna, nawet stając na palcach. Okno nie wydawało się wcale brudne, może tylko zewnętrzna szyba była trochę pokryta ulicznym kurzem, ale Marta dociskała szmatkę tak, jakby na szybie zalegały przyschnięte i grube warstwy pyłu. Ruchy rąk były coraz bardziej automatyczne, a myśli coraz bliższe wewnętrznego świata, któremu Marta jeszcze chwilą wcześniej zaprzeczała.

Czasem się sypię jak drobinki piasku

w odmierzającej czas klepsydrze.

Ziarnko po ziarnku.

Myśl za myślą.

Nadzieja za nadzieją.

Można rozbić się w ciszy i nikt nie zauważy, nikt nie usłyszy.

– Skończyłaś wreszcie? – Głos matki przywołał ją z powrotem do babcinej kuchni. – Ja już dwa duże okna zdążyłam umyć, a ty przy jednym się guzdrzesz.

– Chciałam dokładnie...

– No, zejdź z krzesła, sprawdzę czy nie ma smug. – Matka przyglądała się uważnie szybie, dla świętego spokoju przecierając ją suchą szmatką z mikrofibry w kilku miejscach, po czym zamknęła okno i pochwaliła Martę, że nawet nieźle jej poszło. – Widzisz? Jak nie bujasz w obłokach, tylko robisz coś konkretnego, to od razu widać efekty.

Po minucie Marta zamknęła się w łazience, żeby zapisać na telefonie wszystkie myśli, które przysły jej do głowy podczas robienia czegoś konkretnego.

Jutro nowy dzień, ale myśli nienowe...

Wcale ich już nie chcę, chętnie oddam za darmo lub na coś wymienię.

Tylko kto je zabierze? Moje myśli niechciane...

– To pa, kochane moje! – Babcia jak zawsze ze łzami w oczach żegnała córkę i wnuczkę, jakby to miało być ich ostatnie spotkanie w życiu. – Napracowałyście się tylko, a mogłyśmy razem na jakiś spacer pójść.

– Następnym razem, babciu. – Marta przytuliła się policzkiem do pomarszczonej skóry kobiety i dała szybkiego całusa na do widzenia. Babcia z każdym tygodniem wydawała się mniejsza i Marcie przemknęła przez głowę niepokojąca myśl, że jeśli babcia naprawdę wkrótce zniknie, to Marta zostanie zdana już tylko na mamę.

– Na spacerzy to ja nie mam czasu. Wiecznie coś do zrobienia. Wracam z pracy po szesnastej, wiesz jak to teraz jest w urzędzie, a w domu nie wiadomo w co ręce włożyć. No, lecimy, bo jeszcze kawał drogi przed nami. Do widzenia, mamó.

– Pa, dziewczynki, pa! Dziękuję. – Drzwi zamknęły się za babcią, a na korytarzu słychać było dwukrotnie przekręcany klucz w zamku i energiczne przesunięcie zasuw.

Droga powrotna upływała w ciszy.

Cisza...

Marta od dawna przyjaźniła się z ciszą. Znała jej wszystkie wady i całą masę zalet. Ciszy mogła powiedzieć w zaufaniu właściwie wszystko, bo ona nigdy nie wypapla niczego nikomu. Była jeszcze dyskretniejsza niż pamiętniki, które w niepowołanych rękach opowiedziałyby o Marcie dużo. O wiele za dużo. Cisza pozwalała też Marcie tworzyć wiersze. A wiersze pozwalały jej nazywać emocje i wypowiadać myśli, których natłok bywał nieznośny.